# Świat powieściowy.

Nr. 128 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

## Złamany a nieugięty.

### *Powieść w trzech częściach.*

(Ciąg dalszy)

Arnold w istocie żył od czasu poznania Pauli w stanie jakiegoś szału. Życie to miękkie, roskoszne, było życiem raju, a on nawet myślą poważną i trzeźwą nie wybiegł po za to koło zaczarowane. W tej chwili jednak generał rzucił mu w oczy obelgę, która prawdą była, i zawstydził się nie tylko przed nim, ale i przed samym sobą. Generał wspomniał jego matkę i Arnold zobaczył się młodym chłopięciem, i uczuł ciepły uścisk macierzyński, poczuł stygnącą już dłoń jej na swej głowie, i zobaczył na nędznem posłaniu wynędzniałą chorobą i niedostatkiem kobietę, która była jego matką, i męzka źrenica łzą zwilgotniała, a myśl uciekła w ubiegłe lata i dawne wspomnienia.

Generał wpatrywał się w niego z coraz większą uwagą. Migotało coś w jego pamięci, pracowała widać myśl nad czemś silnie i aż usta mu drżały od niezwykłego wzruszenia. Im więcej się wpatrywał, tem bardziej mieniła się twarz jego. Od jakichś także zapewne dawnych wspomnień, oblewała się co chwila to szkarłatem, to trupią bladością, a na czoło występowały krople zimnego potu.

— Kto była twoja matka? Kto byli twoi rodzice? Czy żyją jeszcze? — zapytał tak cicho, że zaledwie dosłyszeć można było.

— Kto byli moi rodzice? Nie miałem ojca... — odrzekł złamanym głosem Arnold. — Nie miałem ojca, bo nie można przecież nazwać tem świętem imieniem człowieka, który uwiódłszy przysięgami miłości i obietnicami małżeństwa młodą i kochającą go dziewczynę, zostawił ją potem z dziecięciem, owocem hańby i wstydu, na pastwę nędzy, tułactwa i osamotnienia. O nie! nie miałem ojca i wolę żyć w tem przekonaniu, że ojca nie miałem!.. Kto była matka moja? kto była ta święta, która umarła na barłogu niedostatku? Na, czytaj pan ten list pisany jej krwią i łzami! — i pchnięty jakiemś niezrozumiałem uczuciem, wyjął list od matki i księdza Pawła, które nosił zawsze przy sobie i podał je generałowi, a sam roztkliwiony dawnemi wspomnieniami, stał wsparty o mur, ze łzami w oczach.

Generał porwał list i najprzód przeczytał drobnemi literkami nakreślony podpis: „Eliza.“

— Oh! — jęknął i zakrył twarz rękoma.

Po chwili dopiero zaczął czytać i w miarę jak przebiegał list oczyma, ręce jego coraz bardziej drżały, a na czoło występowały się żyły.

— Oh! — powtórzył skończywszy i wplótł ręce we włosy — jam twój ojciec! Ja jestem tym, którego odsądzasz od tego imienia, którym pogardzasz — jam ojcem twoim! — i zsunął się starzec na kolana i otworzył ramiona.

Ale Arnold nie postąpił ani kroku naprzód, nie rzucił się w objęcia ojcowskie, nie przylgnął do piersi rodzica, twarz mu się tylko wykrzywiła jakimś wyrazem pogardy i wstrętu, i zaśmiał się śmiechem suchym, gardłowym.

— Sądzisz więc pan, że za całą krzywdę wyrządzoną mej biednej matce i mnie, dość ci jest powiedzieć: „jam ojcem twoim“, bym ci się rzucił w ramiona i stał się twoim najposłuszniejszym synem? A któż mi zaręczy, że to nie nowa komedja, godna następczyni tej, którą odegrałeś z moją matką?! Wszak przed chwilą jak podły zbójca stałeś nad łożem mojem i godziłeś kulą w pierś bezbronną! Nic-że ci wtedy nie mówiło, że popełniasz synobójstwo? Nie — nie jesteś moim ojcem, wypieram się tego — odrzucam — nie chcę! Wolę, o stokroć razy wolę sieroctwo moje, niż pokrewieństwo z człowiekiem tobie podobnym! Nie! nie chcę! ty nie jesteś ojcem moim!

— Arnoldzie! synu mój! — szepnął generał. — Synu mój, przebacz, zlituj się, nie sądź tak bezlitośnie! Wszak ona, Eliza, twoja matka, ma najukochańsza Eliza, przekazuje ci przebaczenie dla ojca twojego!... Postąpiłem z nią niegodnie, zbrodniczo!... Byłem już żonaty, gdy ją poznałem i pokochałem... Możnaż ją było znać i nie kochać? Była tak dobra i piękna jak anioł, pokochała mnie, a ja oddalony od żony, z którą byłem zaślubiony li tylko z stosunków familijnych, nie miałem siły tyle, by odrzucić miłość tego ślicznego, słodkiego dziecięcia, nie umiałem tak wysoko cenić obowiązków... Po śmierci mej żony robiłem poszukiwania za Elizą. Bóg świadkiem, chciałem ożenieniem naprawić błąd mój, skryła się tak jednak, że jej odnaleźć nie mogłem... Winny jestem oh! bardzo winny, lecz przebacz mi mój synu!...

— Ojcze — rzekł Arnold i podał mu rękę, a dłoń jego zimna była jak głos, z którego zimno lodu wiało. — Wstań ojcze; nie godzi się ojcu zniżać do kolan syna. Chrystus kazał nam się modlić słowami: „I odpuść nam nasze winy, jako i my je odpuszczamy“. Matka moja przebaczyła, i ja ci przebaczam!

— Synu mój, drogi synu! — zawołał generał i tulił sztywnego i obojętnego w swych ramionach. — O! skończyła się już chwila twego ciężkiego życia, z którem dotąd walczyłeś! Jesteś moim prawym synem, panem mojego majątku. Och! Arnoldzie, jakże my teraz będziemy szczęśliwi! Czemuż twoja matka nie dożyła tej chwili! Ja ją tak kochałem! Eliza i Paula to moje dwie prawdziwe miłości!...

— Paula! — zawołał Arnold i wyrwał się z ramion ojcowskich. — Paula! — powtórzył i wpatrzył się wzrokiem błędnym w oblicze starca, który w tej chwili chwycił się za głowę i zatoczył jak pijany.

Długą chwilę trwało milczenie, a straszna to była chwila.

Dzień jasny wdzierał się do pokoju i oświecał scenę okropną. Starzec i młodzieniec — ojciec i syn — stali w tej chwili przed sobą, obydwaj z jedną namiętnością w piersi, z wykrzywionemi twarzami od walki wewnętrznej, czując, że dla nich dwóch za mało miejsca na ziemi!

Generał pierwszy odzyskał władzę myśli i mowy, porwał za rękę nieprzytomnego prawie Arnolda i wstrząsnąwszy nią mocno, rzekł głosem cichego błagania:

— Synu mój, oddaj mi Paulę... Bierz wszystko, ale ją mi zostaw!... Pomyśl tylko — ty masz młodość, piękność, zdrowie, majątek — ja oprócz majątku ją tylko jedną na świecie!... Czy myślisz, że byłbyś z nią szczęśliwy? Arnoldzie, wszak młodość i majątek otwierają ci świat cały, przyszłość wielką i świetną! Paula, dziecko ludu, tancerka, rozrzutnica bez serca, czy myślisz, że da ci szczęście, o jakiem marzyć masz prawo? Ja, człowiek, który pożegnał się z młodością, przeżyty fizycznie i moralnie, ja, niemający już w przyszłości żadnych nadziei, kocham to dziecko, które wychowałem, kocham, a czy ty pojmujesz, co to znaczy uczucie pełne żaru i nieugaszonych pragnień, w sercu człowieka prawie sześćdziesięcioletniego? Czyż odzyskałem cię na to tylko, by zginąć z twej przyczyny? Bo jeżeli mi wydrzesz Paulę, przysięgam, że samobójstwem zakończę ten żywot! A czy da ci wtedy upragnione szczęście ta, która będzie dla ciebie wiecznym wyrzutem śmierci ojca? Czyż piętno Kaina na czole twojem, nie zasunie mgłą czarną całej twej przyszłości, która może być świetną i bogatą w wszystkie skarby powodzenia i pomyślności świata?! Arnoldzie, Arnoldzie, synu mój, nie odbieraj mi Pauli!..

— Nie! — przerwał mu głosem dzikim młodzieniec — nie! nie wierzę, żebyś był moim ojcem! Nie miałbyś wtedy serca ani sumienia, targnąć się na więcej niż na życie moje! Paulę ci oddać, Paulę moją?! Starcze bezrozumny, a cóż mi byłoby wtedy ze wszystkich twych darów? cóżby mi było z całego świata, gdyby jej dla mnie na nim nie było?! Nie, nie chcę ani twego majątku, ani nazwiska, nic, nic nie chcę od ciebie! Podrzutek, sierota bez imienia, jak dotąd żyłem tak żyć będę dalej, idąc przez świat i życie drogą, na której mi gwiazdą przewodnią będzie miłość Pauli i błogosławieństwo mej matki!...

— Ojcobójco! — krzyknął Lemański. — Matka twoja z za grobu cię przeklnie za zbrodnię dokonaną! Ojcobójco! — i ruchem jak myśl szybkim porwał leżący na podłodze rewolwer i przyłożył go do czoła.

Ale Arnold oprzytomniał pod grozą tej chwili; w jego piersi zabiło serce synowskie.

— Ojcze! — zawołał — ojcze! — a głos

ten miękki wytrącił broń z ręki starca i bezwiednie rzucili się sobie w ramiona.

Generał ukląkł u nóg syna i przemawiał jak matka do chorego dziecka, płakał i całował go po rękach.

Arnold po pierwszym wybuchu nieznanego mu synowskiego uczucia, milczał z zaciśniętemi ustami, a łza nie ulżyła strasznej boleści. Poddał się, został zwyciężony i jak skazaniec wyczekuje z drżeniem i rozpaczą godziny strasznej śmierci, tak on gotował się bezprzytomny prawie do spełnienia kielicha ofiarnego.

Generał otworzył pulares pełen banknotów i błysnął niemi przed oczyma Arnolda.

— Patrz synu mój najdroższy, to twoje, wszystko twoje. Bierz wiele chcesz i używaj szczęścia, miłości, życia. Nie pytam, nie chcę pytać, jak daleko zaszedł twój stosunek z Paulą; — to już do przeszłości należy! Wspomnienie to zatrę, a przyszłość moja! Ona... o! i ona zapomni, zapomni jak każda kobieta! bo któraż nie zapomni pod naciskiem złota i imienia?! Ożenię się z nią, lecz wpierw ty się ożenisz, prawda? Dam ci za żonę dziecko niewinne, czarowne, baronównę Adelę, piękną, lubą, bogatą, będziesz szczęśliwy! Wszak ożenisz się z nią, prawda?

— Ożenię — odrzekł Arnold głosem bez dźwięku.

— Więc ją znasz?

— Znam.

— I podoba ci się?

— Podoba.

— O, bo nic nie nagli! Nie chcesz jej, dziesięć jeszcze piękniejszych i bogatszych szczęśliwemi czuć się będą, mogąc zostać żoną syna generała Lemańskiego. Ale możeby lepiej było, żebyś wyjechał? Świat wielki i szeroki, a kto ma pieniądze, dla tego podróż uśmiecha się roskosznie. Ja tyle podróżowałem i tyle użyłem prawdziwej przyjemności w podróżach, a nie byłem tak piękny jak ty jesteś! Pojedziesz więc? chcesz jechać?

— Pojadę — odrzekł Arnold jak automat

— Kiedy i gdzie? Do Włoch czy Paryża?

— Do Paryża.

— Zgoda synu kochany, im prędzej zaś tem lepiej. Postaram się o wszystko, co ci potrzebne być może. Bądź zdrów synu, do widzenia. Zostawiam ci tu kilkaset reńskich — może ci trza więcej? może masz długi? Bierz ile ci potrzeba. Czy chcesz od dziś przenieść się na mieszkanie do mnie, czy z tąd odjedziesz?

— Z tąd odjadę — brzmiała odpowiedź.

— A teraz daj mi słowo, że nie będziesz widział się z Paulą... — rzekł ciszej samolubny ojciec, który oślepiony swem własnem szczęściem, nie dostrzegł strasznej rozpaczy syna. — Nie będziesz widział się z Paulą? — powtórzył.

— Nie będę — odrzekł młodzian — zaręczam że nie będę — i uśmiechnął się słodko. — Nie mów jej nic ojcze o tem zajściu naszem... to zbyteczne i dla niej i dla nas... A teraz idź ojcze do siebie, bo i ja wychodzę.

— Kiedyż i gdzie się zejdziemy? — zapytał generał. — O! bo teraz ja, twój ojciec, nie z jednej chwili cię okradnę, chcąc się nacieszyć swoim synem...

— W kawiarni, w której się zwykle spotykamy. Do widzenia więc.

— Do widzenia.

Lemański wyszedł, a Arnold pozostał na środku pokoju i tak stał długą godzinę. W głowie mu się mięszało, ból mózg rozsadzał. Byłże to sen straszny? Wczoraj Paula była jego, wczoraj byłby odebrał życie każdemu, ktoby mu ją chciał był porwać, a dziś zrzekł się jej dobrowolnie, oddał ją na pastwę namiętności starca, wroga swego, który był jednak jego ojcem! I na myśl tę, na wspomnienie ciosu, który mu wydarł więcej jak życie, jęknął głucho i by nie upaść oparł się o ścianę.

Wzięto mu Paulę, najdroższą serca perłę! — nie! nie wzięto, on sam zrzekł się jej nikczemnie! Przyszedł starzec zużyty moralnie i fizycznie, groził mu odebraniem życia, i on się zatrwożył o życie! Rzucił mu pulares pełen pieniędzy i on sprzedał Paulę! Na tę myśl skoczył jak wściekły i w mgnieniu oka poszarpał papiery.

— Nie! nie! — krzyknął w odpowiedzi swym strasznym myślom — sprzedałem ją, ale nie za pieniądze, zląkłem się, lecz nie o swe życie, tylko niechciałem stać się ojcobójcą, nie chciałem postradać błogosławieństwa matki mojej!... Och! matko! matko! — wołał rwąc włosy z głowy — matko! na co mi twe błogosławieństwo! Przeklnij

mnie z za grobu, bo nie wart jestem błogosławieństwa twego! Dwie kobiety, anioły, kochały mnie — ja obie zdradziłem! Paulo! Paulo! ty nigdy się nie dowiesz, żem ja nic nie winien, że siła większa nawet od miłości mojej, oderwała mię od twych piersi, biedne, drogie dziecię! Och! łzy twoje palą mnie, rozpacz popycha do szaleństwa! Paulo! wczoraj o tym czasie ty byłaś czysta i niewinna jak kwiat białej lilji — ja niegodny spiłem memi usty rosę z kielicha twej dziewiczej czystości, stałaś się w obliczu Boga i honoru moją na śmierć i życie, a dziś, gdy ty drżąca z miłości oczekujesz mnie, bym wydarłszy ci skarb twój najświętszy, ciebie, aniele mój, zawstydzoną szczęściem naszem, upieścił, ukoił i upewnił, że pierś moja za cały świat ci stanie, dziś ja rzucam ciebie samą i bezsilną, w objęcia człowieka, potwora, którego nienawidzę, którego przeklinam, a który jest moim ojcem! To okropne! to straszne! Boże! czy wydzierasz mi wraz z całem szczęściem, z całą przyszłością i tę wiarę, że istnieje Twa wszechwładna sprawiedliwość?!

Arnold zrozpaczony odchodził prawie od zmysłów. Godziny płynęły dlań niepostrzeżenie. Zapomniał o posiłku, o sobie, o Pauli, o wszystkiem! Nie czuł już nawet uczucia goryczy, bolu i rozpaczy. Dziwna apatja i nieczułość owładnęły nim zupełnie.

Wieczór rozpościerał swe cienie, a on w milczeniu, z twarzą zmienioną nie do poznania, z oczyma wklęsłemi i ustami spieczonemi gorączką, siedział przy stoliku, kurczowo dłońmi gniotąc skroń zlaną zimnym potem.

Nagle wstrząsł się, paznokcie zapuścił w swe własne ciało, które krwią zaszło.

— Więc to nie sen, więc ja żyję i to wszystko jest prawdą?! — zawołał. — I mnie ten ogrom nieszczęścia nie zabił?! Ha! pójdę więc w świat szeroki, pójdę i nie chcę nic od od niego, ani imienia, ani majątku! Gdybym tron dzierżył i posiadał skarby świata całego, nie zmniejszyło by to mej nędzy! Idę i nie pożegnam się nawet z Paulą! Zobaczywszy ją, nie miałbym siły odejść, a wtedy krew starca tego, który jest moim ojcem, którego kochała moja święta matka i takby nas rozdzielić musiała! Nie napiszę nawet do niej, nic, nic, zniknę jej z oczu na zawsze, a może Bóg kiedy się zlituje i zapomnieć nam pozwoli.. Paulo moja! moja najdroższa, jedyna kochanko, żegnaj mi na wieki, na zawsze!... — i płakał jak dziecko gorącemi łzami.

Po chwili spalił wszystkie listy, prócz listu matki i wziąwszy tylko własne pieniądze, wyszedł z mieszkania.

Właśnie biła godzina dziesiąta, gdy nie zamknąwszy nawet drzwi za sobą, porzucał na zawsze ten kącik, w którym tyle chwil słodkich przemarzył.

Szedł sam nie wiedząc dokąd. Jedyną jego myślą było uciec z Wiednia — gdziekolwiek, byle nie być tam, gdzie jego ubóstwiona żyła!

Dążył na kolej.

Szum Dunaju zatrzymał go na moście. Stanął i wpatrywał się bezmyślnie w sine fale, wsłuchiwał się w muzykę szumiącej głębi, która zdawała się wabiącym głosem przyzywać go do siebie, obiecując w swem zimnem łonie roskosz spokoju i zapomnienia.

Arnold stał tak długo, długo, a na twarzy jego igrał uśmiech jakiejś błogiej nadziei, i dziko zasłuchany w szum wrącej głębi, coraz bardziej przechylał się przez barjerę.

O kilkanaście kroków od niego stała druga męzka postać, okryta ciemnością nocy i szerokim bandyckim płaszczem.

Uderzyła godzina pierwsza, a wraz z jej uderzeniem Arnold przechylił się zupełnie i rzucił w modre fale rzeki.

W kilkanaście sekund potem i druga postać pospieszyła za nim.

Obydwaj znikli w nurtach Dunaju...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Na drugi dzień wydobyto zwłoki mężczyzny młodego, elegancko ubranego, którego bielizna była znaczona literami A. K. Twarzy nie można było poznać. Musiał nieszczęśliwy w upadku swoim natrafić na coś twardego, co mu lica pokaleczyło niemiłosiernie.

* * *

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Spadek po wuju Hieronimie.

NOWELLA.

I.

Noc zapadała. W skromnej izdebce na probostwie, nazywanej pretensjonalnie salonem przez księdza ciotkę, starą i jak tyka od chmielu chudą pannę Franciszkę, paliła się lampka z umbrą zieloną na stoliku orzechowym, przed kanapką wyplataną z drzewa giętego. Na kanapce siedziała sztywnie wyprostowana wysoka i koścista panna Franciszka, dzwoniąc z pospiechem nerwowym wielkimi drutami stalowymi, które niby wrzeciono obracały się zwinnie w jej długich i chudych palcach, a pończocha z grubej bawełny szafirowej rosła w oczach, niby ciasto na dobrych drożdżach. Głucha zresztą cisza w izdebce panowała. Oprócz brzęku drutów, słychać tylko było monotonny chód zegara staroświeckiego, z kukułką i ciężarkami, na łańcuszkach zawieszonemi. Z ulicy dochodziła czasem nuta urwana piosenki robotnic lub robotników z pola wracających; pies domowy siedział na przyzbie i wył żałośnie do księżyca w pełni, który wypłynął właśnie w całym blasku łagodnym i spokojnym na strop niebieski, bydełko odzywało się przeciągle w oborach, żabki w sadzawce pobliskiej wesoło rechotały, a wszystko łączyło się w jeden akord harmonijny nocnego chóru w naturze, do snu się układającej.

Kroki ciężkie dały się słyszeć najprzód na ścieżce piaskiem wysypanej, która do drzwi probostwa prowadziła, następnie na posadzce kamiennej w sieni, i czyjaś ręka, poszukawszy klamki w ciemności, otworzyła wreszcie drzwi skrzypiące przeraźliwie na zawiasach rdzą pokrytych.

— Czy to ty księże? — spytała panna Franciszka, oczu od roboty nie podnosząc.

— Ja cociu.

— Tak poźno wracasz?

— Nie chciała mnie puścić biedna Margotta. Musiałem czekać, póki kaszel, nadstawszy trochę, usnąć jej nie pozwoli.

Potrząsła głową.

— Zawsze ten sam! — mruknęła gniewnie, przez zęby zaciśnięte.

Piękna bo też to była penitentka z tej Margotty! Lekkomyślnica, która niegdyś wieś swoją opuściła, kwitnąc zdrowiem i młodością, aby szukać karjery w Paryżu, a teraz ośmieliła się nazad powrócić pomiędzy cichych i uczciwych mieszkańców wioski, po najrozmaitszych awanturach, biedną, nędzną, umierającą! Opowiadano sobie o niej do ucha pod sekretem, rzeczy okropne! Występowała bezwstydna na deskach teatralnych; miała być chórzystką w wielkiej operze. Czyż to nie było istnym skandalem, żeby bratanek panny Franciszki, ksiądz zacny i gorliwy zresztą, nie dotrzymywał jej wieczorami towarzystwa, zostawiał ją do późna w nocy samusieńką, nie grał z nią nigdy teraz ulubionego *bezika* i poświęcał ją, ciotkę, tak mu wierną i przywiązaną duszę panieńską, czystości tak wielkiej, dla jakiejś tam awanturnicy, której i tak już nic nie wyratuje z piekła czeluści?! Oj! ten ksiądz, ten ksiądz!... Czyż tam już u Boga w górze tak zapisano, żeby on był wiecznie takim dziecinnie egzaltowanym, żeby ani wiek, ani doświadczenie, nie wyleczyły go z niegodnej słabości, nie przyprowadziły do rozumu, do zastanowienia?!...

Wchodzący przerwał bieg myśli starej panny. Usiadł naprzeciw niej, opierając się łokciem lewym o stół, i spuściwszy na dłoń swoje czoło szerokie, zdradzające wyższą inteligencję, a ocienione włosem gęstym, czarnym, w którym mimo lat niespełna czterdziestu, już gdzie niegdzie siwizna przezierała. Przez dłuższą chwilę milczeli oboje.

— O czem tak dumasz księże? — spytała wreszcie z przekąsem stara panna.

— Ot, tak sobie... o niczem i o wszystkiem...

— Zdajesz się być czemś wielce zaniepokojony?

— Ależ nie, doprawdy!...

Potrząsł głową i przesunął ręką po czole, jakby chciał istotnie spędzić z niego myśli natrętne.

— Nie przyniósł nic z poczty posłaniec?

— Aha!... właśnie wstępował przed wieczorem, i zostawił dla ciebie list opieczętowany... pieczęć pocztowa z Paryża... Ale gdzież on mi się zapodział?... — przewracała w koszyku łubianym mnóstwo kłębków różnokolorowych. — Przecież tu go włożyłam!... list taki duży... z kopertą urzędową... z wielką pieczęcią... Aaa! jest nareszcie!

Rozciął kopertę podaną sobie scyzorykiem, przebiegł list oczami raz i drugi, zmiął w ręku i schował z miną kwaśną do kieszeni.

— Nic nie rozumiem! Pisze z Paryża jakiś nieznany mi notarjusz, żebym go odwidził bezwłocznie w jego kanceiarji, gdzie udzieli mi nader ważnej wiadomości.

— Pojedziesz?

— Ha! Trzeba będzie wybrać się... temi dniami...

— Nie domyślasz się, co by to być mogło tak ważnego?

— Nic a nic! Może idzie o jaki legat testamentalny dla biednych w mojej parafji, lub o jaki fundusz na odbudowanie mojego walącego się niemal ze starości kościółka... Co do mnie niestety! nie wiem o żadnym bogatym wujaszku lub stryjaszku z Ameryki!...

Uśmiechnął się z goryczą.

— Hm! hm! matka twoja miała wprawdzie brata

młodszego, który wtedy właśnie, gdy została moją bratową, powędrował gdzieś za morze szukać szczęścia i pieniędzy...

— Wujaszek Hieronim?... Eh! gdyby mu się było powiodło, byłby nie wytrzymał tak długo i wrócił do kraju rodzinnego... a przynajmniej doniósł coś kiedyś o sobie... Nieżyje zapewne od lat wielu, tak jak i cała zresztą moja rodzina!...

Westchnął ciężko.

— Wszyscy wymarli — szepnął jakby sam do siebie — prócz dziecka niepożądanego, niekochanego, które uznano za stosowne poświęcić dla innych!...

Panna Franciszka wypuściła z rąk druty, zdziwiona i zaniepokojona tonem goryczy, z którym słowa te były wymówione. Wpoiła w bratanka wzrok badawczy, i odezwała się wreszcie z wymówką po chwili milczenia:

— Wiesz księże przecie, jak mnię martwi taka mowa bezbożna! Cóż ci się złego stało? Jakiż masz powód do wiecznych jęków i narzekań? Czy braknie ci czego? Czyż nie staram się o wszelkie twoje wygody? czyż nie na mojej głowie wszelkie troski życia codziennego? czy ty się kiedy o co zakłopoczesz? Czegoż żałujesz? Żeś spełnił powinność względem twoich najbliższych? Bóg cię za to hojnie wynagrodził! Czyż nie jesteś sługą Bożym? Czyż nie piastujesz co dzień na rękach pana Jezusa? Czyż godność twoja wszelkich innych nie przewyższa? Wierz mi, nic się nie dzieje z nami bez woli Opatrzności, a jak ona rozsądzi, tak pewnie jest dla nas najlepiej!

Nic nie odpowiedział. Przeszedł się kilka razy po pokoju, wreszcie zbliżył się do wcale pięknego i okazałego fortepianu Playel'a, który naprzeciw okna całą jedną ścianę zajmował, nie licując bynajmniej z resztą skromnego umeblowania. Ona podjęła z kolan robotę. a obracając machinalnie druty w palcach, śledziła z pod oka każdy ruch księdza. Gdy otwierał wieko. spytała z miną nader kwaśną:

— Czy nie myślisz znowu bębnić po fortepianie?

— Tak jest... myślę!

Przebiegł całą klawiaturę, kilkoma grzmiącemi *arpeggiami.* Nie dała jednak za wygranę, a jej głos piskliwy i chropowaty, jak garnek stłuczony, potrafił wnet zagłuszyć świetne preludjum.

— Tak już późno... musisz być nader strudzonym... Czy nie lepiej byłoby spać się położyć?

— Nie broń że mi ciotko tej jedynej roskoszy, którą przecie wolno kosztować.

— Muszę jednak cię przestrzedz, że już o tem różne gadki po wsi krążą. Słyszą cię nieraz grającego i śpiewającego do północy... i dalej nawet, a to księdzu jakoś nie przystoi...

Żywo zwrócił się ku niej, brwi groźnie zmarszczywszy.

— Słuchaj no ciotko Franciszko! — przemówił tonem ostrym i suchym, nie znoszącym sprzeciwienia, którym przemawiał częstokroć z kazalnicy, aby obudzić stygnącą gorliwość w owieczkach, jego pieczy oddanych, lub gdy karcił parafianów za jaki skandal najświeższej daty. — Słuchaj uważnie i staraj się jeżeli możesz zatrzymać w pamięci słowa moje, abyś je powtórzyła tym głupcom, którzy głowę ci napełniają bredniami bezsensnemi. Muzyka w całem znaczeniu tego wyrazu, jest sztuką świętą!... Od początku aż do końca świata służy i będzie służyła na najwyższą chwałę Stwórcy; w niebie nawet grają i śpiewają!

Panna Franciszka niestety była aż nadto ostrzelana z kazaniami.

Przemowa zatem, jakkolwiek surowa, bynajmniej ust jej nie zamknęła. Protestowała z dziwną śmiałością:

— Gdybyś śpiewał psalmy, kantyczki, to co innego!...

— Ejże! proszę!... Odkąd że to chłopi umieją rozróżniać kantyczkę od arji operowej?

— Mój Boże! przecież to i lada prostaczek potrafi! Ja także nie rozumiem się nic a nic na muzyce, a dawno już spostrzegłam, że w tem, co ty wygrywasz i wyśpiewujesz, niema nic świętego!

— Tak?... No to patrz-że się!...

Wyciągnął rękę do stosu nót, leżących na stoliczku obok fortepianu, wziął na chybił trafił jeden z grubych zeszytów, porządnie obłożony okładką z papieru kolorowego, z numerem i nagłówkiem wypisanym wielkiemi literami, i wskazał jej palcem napis.

Przeczytała głośno tytuł:

„*Judyta, Oratorjum biblijne*!"

— Czy wiesz teraz? — spytał tryumfująco.

Ten jeden dowód wydał mu się widocznie niedostatecznym, gdyż zmusił ją do przewertowania wszystkich kartek, aż do końca sporego zeszytu. Ujrzała przed sobą całe rzędy linij, a pomiędzy, nad i pod niemi, mnóstwo kropek, sztryszków, znaczków, co wszystko wydawało się starej pannie jakiemś dziwacznem pismem, kabalistycznem, jakiemiś nieodgadnionemi heroglifami! Nic się na tych zygzakach nie rozumiejąc, próbowała odczytać przynajmniej słowa, pod jednym linji ścieśnionym szeregiem podpisanych. Nie było to nic chińskiego ani hebrajskiego, tylko najczystsza mowa francuska. Sylaby jednak daleko nieraz odbiegały jedna od drugiej, łącząc się poprzecznemi linijkami, co wielce czytanie utrudniało. Nie potrafiła zatem poskładać całych wierszy i pojąć słów znaczenia, uderzyły ją przecież wyrazy pojedyncze, odnoszące się do Boga i jego chwały.

Gdy doszli do ostatniej stronnicy, a ksiądz milczał uporczywie, onieśmielona, spytała głosem cichym:

— Widzę coś wprawdzie... Musisz mi jednak bliżej określić, co to jest właściwie?

— Moje dzieło!... To owoc owych nocy bezsennie na bębnieniu spędzonych, które, jak mi oświadczyć raczyłaś, tak gorszy moich przemądrych parafian.

— Tyś to wszystko napisał?

— Ja sam!

— Tę muzykę?

— Tak jest!

— Te wiersze?

— Także!

Złożyła ręce jak do modlitwy, nie mogąc wyjść z zadziwienia i osłupienia naiwnego.

— Na rany Boskie! Czy to podobna?!... Ty? ty? Ten mały Jaś, który tyle razy na moich rękach usypiał i którego a-b-c uczyłam?

— Przebaczysz mi teraz — uśmiechnął się gorżko — że nie mając czasu w dzień, po nocy gram i piszę?

— Od jak dawna nad tem pracujesz?

— Od dwóch lat...

— A mnieś o tem ani słówkiem nie wspomniał! Godziż to się być tak skrytym w obec ciotki, która była zawsze drugą matką dla ciebie?

— Milczałem... bom sam sobie nie dowierzał... Nie spodziewałem się nigdy, iż potrafię z dziełem mojem zawinąć szczęśliwie do portu. Przypomnij sobie, żem od dziecka namiętnie ukochał muzykę... Uczyłem się jej instynktowo, bez szkoły, bez przewodnika... Powoli, powoli, w krew mi weszła niejako. W muzyce znalazłem wytchnienie, znalazłem pociechę, w najczarniejszych życia mojego godzinach. Raz, w życiu samotnem, uczułem pociąg niewstrzymany, aby w własnej kompozycji sił moich spróbować. Czyżby to było z góry natchnieniem?... w duchu pomyślałem. Walczyłem długo z pokusą, a uległszy jej wreszcie, zacząłem od mniejszych pieśni religijnych. Czułem jednak w głębi duszy, że mojem polem, byłby jakiś wielki dramat, ubrany w świetne szaty melodji; myśl ta mnię zrazu przerażała... zdawało mi się to zbrodnią niemal... Pewnego wieczora, ot! tu, na tem samem miejscu, wzrok mój padł na otwarte Księgi Starego Testamentu i na historję Judyty, pełną zaparcia się samej siebie i poświęcenia bohaterskiego... Był to rodzaj objawienia!... Melodje najrozmaitsze spiewały mi w sercu i w uszach dzwoniły, słowa do nich same się w rymy układały.... Wziąłem się do pracy. Przez lat dwa, była mi ona życia osłodą i nieznaną dotąd roskoszą... Nie! ty tego ciotko nigdy nie pojmiesz, a ja ci to w słowach nie jestem w stanie odmalować, w jakich ja sferach żyłem niedoścignionych! jak mnię upajały te pieśni, zrodzone w własnej mojej fantazji!

Wśród mowy usiadł machinalnie, puszczając palce po klawiszach. Zrazu grał tylko, wreszcie nucić zaczął, to chóru urywek, to część arji Judyty lub Holofernesa, to strotkę z piosenki hulaszczej żołnierzy w obozie nieprzyjacielskim. Głos jego to cichł, to grzmiał niby surma bojowa, to płakał tonami rzewnymi, miękkimi, niby z ust matki troskliwej płynąca nad kolebką dziecka kołysanka. Stara panna słuch wytężała, była jednak nadto pomięszana odkryciem nadzwyczajnem i zresztą za mało znała się na muzyce, żeby ocenić dzieło jak należy. Ksiądz jednak, wpadłszy w zapał autorski, spiewał i spiewał, czasem zapowiadając jej w słowach urywanych, co nastąpi, a najczęściej, każąc jej się treści domyślać, z charakteru samej melodji.

Ustał wreszcie znużony, a ona siedziała nieruchomo, sztywna, osłupiała! Nie była w stanie wygłosić opinji jakiejkolwiek, a ksiądz tak by był rad jej zdanie usłyszeć, chociaż wcale niekompetentne. Czekał z trwogą widoczną, na ciotki pierwsze słowa, boć ona tak czy siak, przedstawiała w swojej osobie całą publiczność, przed którą ośmielił się z dziełem swojem wystąpić.

— To bardzo piękne! — wykrztusiła wreszcie z piersi ściśniętej, z przekonaniem szczerością nacechowanem. — To coś nadzwyczajnego! — dodała.

Na szczęście dla niej, zadowolnił się autor tem zdaniem pochwalnem, ale nader ogólnikowem. Skoczył od fortepianu, porwał ciotkę za szyję i po dziecinnemu nie tając wzruszenia i radości, jaką mu jej słowa sprawiły, w obydwa policzki ucałował.

Ta pieszczota, której od tak wielu lat nie doświadczyła, przypomniała jej rolę matki, przyjętą po śmierci bratowej. Odzyskała odwagę na chwilę utraconą i zaryzykowała łagodne, macierzyńskie połajanie. Niektóre ustępy, wydały jej się zbyt namiętnymi, nawet niekoniecznie przyzwoitymi... Czy treść nie była nadto romansowa? Nie mógł-że wybrać z całej Biblji przedmiotu mniej skandalicznego? Przyjął atoli jak najgorzej skromne jej uwagi. Zgromił ciotkę co się zowie, iż ośmiela przesądzać postępek wzniosły Judyty i nazywa nieprzyzwoitym ustęp z Biblji, co jest samo przez się grzechem śmiertelnym! Może czyn Judyty, wydawać się niestosownym, w oczach krótkowidzących profanów, ale bądź jak bądź, siłę i natchnienie do tego czynu niezwykłego odebrała z rąk Boga, gdy w popiele pokutnym ukorzywszy się przed Panem nad Pany, błagała go o pomoc dla ginącego ludu swojego! Panna Franciszka nie była z rodzaju heretyków, którzy ani w Boga, ani w djabła nie wierzą, nie myślała zatem dłużej księdzu oponować, żałując już w duszy za grzech bezwiednie popełniony.

Mógł sobie ksiądz mówić, co mu się podobało, całość była nie mniej nadzwyczaj światowa i z ogniem namiętnym napisana. Cóż myśli dalej z tem robić? Pytanie wymknęło się ciotce całkiem naturalnie. Gdy je wypowiedziała, spostrzegła dopiero po odpowiedzi księdza Jana, pełnej goryczy i zwątpienia, jak bolesnej struny dotknęła nierozważnie.

— A cóżbym ja biedak mógł z tem zrobić?! Nic!... to przecież łatwo pojąć!.... Zamknę dzieło skończone do szuflady.... po mojej śmierci chyba przyda się może komu na co! i...

Reszty słów nie mogła dosłyszeć. Mruczał coś gniewnie przez zęby ściśnięte, nerwowa ekscytacja i radość pełną zapału, z którą jeden kawałek po drugim odspiewywał, zniknęły bezpowrotnie, a w rysach

odbił się znowu wyraz smutku ponurego i dziwnego do życia zniechęcenia.

Zegar na wieży kościelnej wydzwonił leniwo godzinę dwunastą. Panna Franciszka krzyknęła przerażona, zrywając się na równe nogi. Jak pamięcią sięgała, nie popełniła tak wielkiego nadużycia! Zbierała też z pospiechem gorączkowym swoje manatki i graciki rozmaite, podczas gdy ksiądz Jan fortepian zamykał w milczeniu, układając napowrót podług numerów, zeszyty w okładkach szafirowych.

— Dobranoc ci księże Janie! — zawołała od progu.

— Dobranoc ciotko Franciszko!

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

# Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

## XX.

W tydzień potem Dziennik l' Yonne tak opisywał te straszne wydarzenia, któreśmy już opowiedzieli:

„Straszne wypadki w Planche - Mibray zakończyły się.

„Zakończyły się strasznie i niespodziewanie.

„Od dwóch tygodni, żandarmerja, strażnicy leśni, a nawet wieśniacy, przetrząsali lasy, nie mogąc odszukać zabójcy nieboszczyka p. de Maugeville, gdy wypadek niespodziewany położył nareszcie koniec tej niespokojności ogólnej, opanowującej i uciskującej całą okolicę.

„Munito cygan, ukrył się w szczelinach skał, sto stóp po nad powierzchnią l' Yonny. Kłusownik jeden wiedział o jego ukryciu i ten go zdradził.

„Jednej nocy w czas pochmurny i deszczowy, żandarmerja prowadzona przez heroiczną baronowę de Planche - Mibray i jej siostrzeńca pana de Villenave otoczyła skałę. Ale cygan niewiadomym sposobem uciekł.

„Jednakże noc ta miała być nocą jego ostatnią. Powróciwszy do zamku, baronowa właśnie miała kłaść się spać, gdy nagle człowiek jakiś stanął przed nią.

„Byłto Munito.

„Teraz nie można już powątpiewać, co popchnęło tego człowieka do zbrodni; i pani de Planche - Mibray zrobiła szczególne zeznania.

„Nieboszczyk baron de Planche - Mibray, który miał stajnię koni wyścigowych koło Versalu w lasach Cucuphar, posiadał także niedaleko tego zabudowania prześliczną willę, w której baronowa spędziła pierwsze miesiące po śmierci męża.

„I zdaje się, że tam to w jednej z przejażdżek porannych spotkała trupę kuglarzy, między którymi znajdował się Munito.

„Cygan ten kręcił się kilka dni koło willi.

„Powróciwszy do Paryża, spotkała kilka razy tego człowieka koło swego pałacu.

„Nareszcie gdy przyjechała do Planche - Mibray, pokazał się jej znowu, ale tym razem zdawało się jej tylko, że przebiegł po parku.

„W trzy dni później p. de Maugeville został zamordowany.

„Zdaje się, że cygan ten zakochał się do szaleństwa w tej kobiecie, którą przeszkody społeczne dzieliły na zawsze od niego.

„I tak, podczas gdy go szukano w skale, wkradł się do zamku; udało mu się dostać do pokoju baronowej i tam się ukryć; i nagle młoda kobieta, sama, w nocy, bez pomocy i opieki, spostrzegła tego nędznika koło swego łóżka.

„Trzymał w ręku nóż i piana z ust mu się toczyła, a oczy strasznie błyszczały.

„Czegóż chciał? Łatwo odgadnąć: chciał popełnić dwie zbrodnie naraz!

„Baronowa de Planche - Mibray, jak wiadomo, jest bardzo energiczną. Nie straciła głowy, broniła się, walczyła, krzyczała...

„Był jeszcze czas aby pospieszono jej z pomocą.

„Na szczęście p. de Villenave mógł dostać się do pokoju i strzelił do mordercy, który wyzionął ducha na miejscu.

„Pani de Planche - Mibray tak się okropnie przestraszyła i tak wielkiego doznała wzruszenia, że przez dwa dni lekarze obawiali się, by nie dostała pomięszania zmysłów.

„Dziś już nie ma niebezpieczeństwa, ale najrozmaitsze pogłoski obiegają o jej postanowieniach na przyszłość.

„Jedni utrzymują, że zapisała swe dobra ubogim i wstępuje do klasztoru. Drudzy potwierdzając to samo utrzymują, że podzieliła majątek: połowę zapisała dla biednych, a drugą połowę zapisała panu de Villenave, siostrzeńcowi swego męża, a swemu wybawicielowi.

„Inni jeszcze utrzymują, że p. de Villenave od dawna kochał się w pięknej wdowie i odmawia stanowczo przyjęcia majątku.

„Naszem zdaniem to by było najstosowniejszem rozwiązaniem, które zadowolniłoby nie tylko opinję publiczną, ale także wszystkich przyjaciół tego szlachetnego i cnotliwego domu de Planche-Mibray, szanowanego w całej okolicy, a któremu grozi wygaśnięcie linji. — Nareszcie donosimy, że w tych dniach był wielki objad u markiza de B..., w zamku Rochepinte i że ekscentryczny szlachcic, u którego pan de Villenave bawi w tej chwili, wzniósł zdrowie na cześć małżeństwa tego ostatniego z baronową.

„Goście, jak mówią, wszyscy przyklasnęli serdecznie. I my przyklasnęlibyśmy także z całego serca temu związkowi, który odnowiłby, jeżeli nie imię wygasłe, to przynajmniej krew rodziny, z której cała Burgundja szczyci się od wielu wieków."

Opis wypadków zaszłych w Planche - Mibray tem się kończył, a piękna Corinna Destremont wręczyła dziennik, który czytała półgłosem, panu de Villenave.

Pewnego poranku w kilka dni po śmierci Munita, p. de Villenave wszedł do pokoju Corinny w zamku Rochepinte i zastał ją pakującą swe walizy.

— Cóż to robisz? — zapytał.

— Widzisz przecie, pakuję rzeczy — odpowiedziała Corinna.

— Dlaczego?

— Dlatego że odjeżdżam. Wiesz przecie mój przyjacielu — dodała z uśmiechem pogardliwym i drwiącym, jaki zawsze miała dla swego dawnego wielbiciela — wies przecie, że nie mam już tu co robić?

— Jednakże....

— Osądź sam. Baronowa przyrzekła ci swój majątek, jeżeli odszukasz Munita. Ty zrobiłeś lepiej, zabiłeś go.

— A więc?

— Gdy się ma lat dwadzieścia dwa, jest się piękną, bogatą i uwielbianą, popiół, który się posypało na głowę w pierwszych dniach boleści, ulatuje powoli z podmuchem wiatru. Baronowa miała wstąpić do klasztoru, ale już nie wstąpi.

— Tak myślisz? — rzekł p. de Villenave.

— Jestem pewna....

— Ale wtedy....

Corinna zaśmiała się.

— Ach! mój kochany — zawołała — czy ty zawsze będziesz sądził ludzi podług siebie? A że jesteś człowiekiem bez czci i wiary, sądzisz, że wszyscy są tacy?

— Jesteś surową dla mnie — rzekł p. de Villenave zakąsiwszy usta.

— Surową ale sprawiedliwą. Baronowa przyrzekła ci swój majątek i będziesz go miał.

— Ale jeżeli nie wstąpi do klasztoru....

— Zostanie twoją żoną.

— Myślisz?

— Tembardziej, że ją namawiają do tego ci poczciwi Burgundczycy, którzy są tak naiwni! Mówią o tobie jak o prawdziwym szlachcicu.

— Corinno!

— Et! nie gniewaj się.. znamy się od dawna, i wiesz dobrze, że mamy prawo wszystko sobie powiedzieć.

— Niech będzie — rzekł p. de Villenave. — Więc myślisz, że ona wyjdzie za mnie?

— Jest zmuszoną. Czyż nie jesteś jej wybawicielem?

— To prawda.

— A potem będzie się obawiała klasztoru....

— Ja też rachuję jeszcze więcej na to.

— A zatem rozumiesz dlaczego odjeżdżam? — odrzekła Corinna. — Wiem, że wszyscy tutaj mają mnie za kochankę markiza, a zresztą nie trzeba, aby się dowiedzieli, że przyjechałam z tobą i jak tylko uregulujemy nasze rachunki....

— Jakie rachunki? — zapytał zdziwiony.

— Nasze rachunki — odrzekła zimno Corinna.

— Zdaje mi się, że wszystko uregulowałem.

— Bo nie masz pamięci.

— Co mówisz?

— Nic, mówię tylko, że nie masz pamięci.

— Pamiętam jednak, że podpisałem weksel na sto tysięcy franków.

— To prawda.

— Potem drugi, na czterdzieści tysięcy w zamian za dwadzieścia tysięcy, któreś mi pożyczyła.

— I to także prawda.

— A więc, czegoż chcesz więcej?

— Ależ, mój przyjacielu —rzekła Corinna zostawiając walizy otwarte i pudła niepopakowane, a rzucając się wygodnie na sofkę — czy trzeba, abym ci położyła koniecznie kropkę nad i?

— Jakto?

— Gdy spotkaliśmy się w lasku przed miesiącem, żądałam sto tysięcy franków za wmieszanie się w twe sprawy.

— Tak. I obowiązałem się je zapłacić.

— Dobrze. Ale o cóż chodziło wtedy?

— O małżeństwo moje z ciotką, tak jak i dzisiaj.

— Bez wątpienia, tylko że wtedy miałam maleńką rolę do odegrania. Trzeba było zgubić Maugeville'a w oczach baronowej, a teraz Maugeville umarł...

— Ach! — zaśmiał się Leon — może zechcesz mi dowieść, że tyś go zabiła?

— Nie, ale wyrwałam cię ze szpon Dolorés.

— Przyznaję.

— I bezemnie, byłbyś dziś pewno warjatem.

— Dziękuję ci za to coś zrobiła, ale miałaś do tego powody.

— No, być może.

— Ratowałaś swoje sto tysięcy franków.

— Nie zaprzeczam. Z tą tylko różnicą, że niewiedziałam pierwej tego, co wiem teraz.

I Corinna patrzyła ozięble na pana de Villenave.

— Cóż teraz wiesz? — zapytał tenże obojętnie.

— Wiem — odrzekła — żeś kazał zamordować swego wuja.

— To fałsz!

— Chcesz powiedzieć, że nie ma dowodów?

— To wszystko jedno.

— A ja ci mówię, że się mylisz.

Pan de Villenave zbladł.

— Mój kochany — mówiła dalej Corinna — zadłużony jesteś po uszy. Głowa twoja nie pewna na karku, za parę kroćstotysięcy franków możesz zostać milionerem, zabezpieczyć twą głowę na długie lata, i wahasz się jeszcze?

— Ależ — szepnął Leon — nie mówię... ale jeszcze...

— Cóż takiego?

— Muszę wiedzieć co żądasz.

— Trzy razy tyle co mi obiecałeś!

Pan de Villenave cofnął się.

— Słuchaj Leonie — zaśmiała się piękna grzesznica — przyznaj, że życie, które prowadzę od miesiąca, warte dwadzieścia tysięcy franków dochodu, nie prawdaż? A jeżeli znajdziesz kobietę, znającą cię tak jak ja cię znam, poważającą cię tak jak ja cię poważam, a która by się zdecydowała żyć g r a t i s z tobą przez miesiąc, obiecuję ci zwrócić oba weksle, które mi podpisałeś.

— Doprawdy?

— A nawet i ten, który mi podpiszesz za chwilę. — Mówiąc to Corinna otworzyła tekę podróżną i wyjęła ćwiartkę papieru ostęplowaną, którą położyła na stole przed panem Villenave sinym z gniewu.

— Sądzę, że znasz mię z tego — rzekła — iż jestem o tyle dyskretną o ile roztropną.

— A tak — odrzekł z ironją.

Corinna mówiła dalej:

— W pierwszym miesiącu twego małżeństwa, będziesz miał i tak dość do płacenia, i zapłacisz mi tylko te sto czterdzieści tysięcy franków. Weksel ten jak widzisz całkiem jest gotów i potrzebuje tylko twego podpisu, a płatny jest za półtora roku. Więc śmiało podpisuj....

Pan de Villenave wahał się jeszcze.

— Podpisuj, mówię ci! — powtórzyła Corinna. — Wiesz, że zawsze dobrze ci radzę.

Leon wziął już pióro do ręki, potem nagle rzucił go z gniewem daleko od siebie.

-- To doprawdy targ niecny! — zawołał.

Corinna nawet nie drgnęła, spokojna i uśmiechnięta rzekła tylko:

— Widzę, że muszę użyć ostatniego argumentu, a staniesz się łagodny i cichy jak baranek.

— No! — odrzekł z ironią. — No, mów, słucham cię...

— Sądzisz, że nie ma dowodu na to, co mówiłam przed chwilą?

— Nie, nie ma.

— A więc, jakimże sposobem ja się dowiedziałam?

To pytanie zmięszało trochę pana de Villenave. Jednakże odpowiedział:

— W czasie mojej słabości bajałem może z gorączki. A w gorączce mówi się tyle rzeczy....

— Wymawia się nawet imię mordercy?

— To możliwe, ale nie ma sądu na świecie, który by ci uwierzył na słowo.

— Na słowo może nie. Ale przypuśćmy, że gdy, jak mówisz, w gorączce opowiadałeś jak twój wuj umarł... nie byłam sama koło ciebie... że doktor naprzykład... słyszał tak jak ja...

Pan de Villenave pozieleniał.

— I że oboje razem spisaliśmy protokół... Otóż — ciągnęła dalej Corinna — wiem, że to nie wystarcza, aby cię potępić, ale wystarcza aż nadto, aby sąd wdrożył śledztwo, aby cię zaaresztowano i ażeby przez ten czas opinja publiczna obróciła się przeciw tobie... nie rachując...

— Nie rachując czego? — rzekł p. de Villenave, który się bronił zawzięcie.

— Nie rachując, że zaaresztują także tymczasem Michała Balthazar... i że ten przyciśnięty, odurzony i nalegany przez zręcznego sędziego, zacznie powoli wyznawać prawdę...

Włosy powstały na głowie panu de Villenave.

— Mój Boże! — uśmiechnęła się Corinna i mówiła dalej z tym samym spokojem — pojmujesz przecie, że winny czy niewinny w oczach sądu, będziesz nim z pewnością w oczach twej pięknej ciotki... A wtedy pożegnaj się z nadziejami i z tym majątkiem, o który się teraz targujesz tak bardzo, i nie chcesz mi dać nawet małej cząstki, tak jak gdybyś go już trzymał w twem ręku.

Pan de Villenave uczuł się złapanym w łapkę, jakby w żelazne kleszcze.

— A więc! — zawołał z oburzeniem — szatanem jesteś nie kobietą!

— Mój kochany — odrzekła Corinna — jeżeli znajdziesz anioła, który by chciał wejść w spółkę z tobą, to wracam ci moje słowo.

To ostatnie szyderstwo dobiło Leona i podjął pióro, które rzucił był daleko od siebie.

— A tak to mi się podoba — zawołała Corinna — widzę, że przecie masz rozum.

Ale w chwili gdy pan de Villenave miał podpisać weksel na trzykroć sto tysięcy franków, przypadek udzielił mu nowej zwłoki.

Ktoś zapukał do drzwi i pan de Villenave schował spiesznie weksel do teki.

— Proszę wejść! — szepnął głosem stłumionym.

## XXI.

Drzwi się otwarły i jakiś człowiek ukazał się w progu. Tym człowiekiem był Michał Balthazar.

Co go sprowadziło w biały dzień do zamku Rochepinte, gdzie kłusownicy tak źle widziani byli? Prawda, że margrabia był na polowaniu z wszystkimi swymi strażnikami i strzelcami, i że służący, którego się pytał o pana de Villenave, nie znał go wcale.

Michał przychodził z Coulanges, spędziwszy tam noc w lesie. Zostawił strzelbę w rowie koło parku, i pokazał się w zamku z kapeluszem w ręku. Przyprowadzono go też do pana Villenave, nie podejrzywając nawet, że był kłusownikiem.

Ażeby wytłumaczyć zjawienie się Michała w Rochepinte, musimy cofnąć się wstecz i opowiedzieć co się działo dzień przedtem w oberzy pod Sową, u Balthazarów.

Matka Balthazar i dwaj jej synowie starsi, kończyli właśnie wieczerzę, gdy Szymon odezwał się z gniewem:

— Zdaje mi się, że Michał wmięszał nas w to wszystkich!

Michała nie było.

— A ja jestem nawet pewny — zawołał Jan.

Stara podniosła głowę.

— Co tam pleciecie? — zapytała.

— Cygan umarł, nieprawdaż?

— A tak.

— A więc, to Michał go zabił!

— Jaki ty głupi! — odrzekła stara. — Wiesz dobrze, że to siostrzeniec nieboszczyka barona roztrzaskał mu głowę.

— Nie zaprzeczam, ale Michał jest powodem.

Klara spojrzała na syna okiem gniewnem.

— Czy mam ci tłumaczyć mój chłopcze?

— Michał działał z namowy cygana.

— Myślisz? — i stara przybrała minę naiwną.

— Matko — odpowiedział Szymon — proszę cię nie drwij sobie z nas dłużej, gdyż obaj wiemy wszystko.

— I cóż to wiecie? — rzekła stara głosem cierpkim i drwiącym równocześnie.

— Rzecz bardzo podejrzaną — odezwał się Jan — że Michał zabił Maugeville'a.

— To możliwe! — odrzekła Klara z miną naiwną.

— Nie licząc, że wiedzieliście to od pierwszej chwili i że Michał ukrył cygana w skale, i nosił mu w nocy koszyk z prowiantami, któryście mu sami przygotowywali.

Stara nic nie odpowiedziała.

— Nie wiele dostał pieniędzy za ten piękny strzał — rzekł Szymon.

— Jakto wiecie?

Klara Balthazar przestała już udawać zdziwioną.

— Przed dziesięcioma dniami — odpowiedział Jan — udawaliśmy że spiemy, Szymon i ja, i słyszeliśmy całą waszą rozmowę z Michałem.

— Słuchajcie no — rzekła stara — porozumiejmy się naprzód. Ty mówisz Szymonie, że Michał nosił jeść cyganowi?

— Tak.

— A ty Janie utrzymujesz, że pomógł zabić cygana.

— To moje zdanie.

— Aha! — zaśmiała się stara — trudno to jednak zrozumieć!

— Nie tak trudno, matko. Ukrywszy cygana, Michał sprzedał go.

— Komu?

— Żandarmom.

— Ale przecież żandarmi otoczywszy skałę, nie znaleźli nikogo?

— To nie racja. Michał chciał wszystko pogodzić, ocalił cygana i kazał mu ukryć się w zamku.

— Dobrze! a potem?

— Powiedział wszystko panu de Villenave.

— Ale w jakim celu? — zapytała znowu Klara Balthazar.

— W celu dostania pieniędzy.
— Od kogo?
— Od pana de Villenave.
— Tak myślisz? — odrzekła stara, której oczy zabłysły chciwością.
— I dostał je.
— Jakto wiecie?
— Wiadomo wam, że nosi pas skórzany. A gdy nie ma nic w pasie, zdejmuje go wieczór.
— A gdy jest pełny — dokończył Szymon — spi w nim. Otóż od tygodnia spi zawsze w pasie.
— Ach! gdybym to wiedziała! — wykrzyknęła stara Balthazar.
— Cóż zrobilibyście matko?
— Musiałby mi dać moją część.
— Ale — zawołał Szymon — my przecie także chcemy naszą.
— Do kata! spodziewam się — wykrzyknął Jan.
— Ile też mógł on dostać sprzedając cygana? — zapytała stara, której oczy błyszczały co raz bardziej.
— Może pięćset lub sześćset franków, może tysiąc...
— A pas zdaje się wam ciężki?
— Nie można wiedzieć.
— Dlaczego?
— Bo nie zdejmuje go nigdy.
— Musi zdjąć — mruczała stara — albo jeżeli nie...
— Et — odrzekł Szymon — starając się rozjątrzyć matkę — zawsze mówicie więcej jak robicie. A jak Michał przyjdzie... nie powiecie mu ani słowa.
— Obaczysz.
— Ale gdzież on jest? — zapytał Jan.
— A kto go wie? Ma pieniądze, i przejada je. Może w Coulanges, a może w Mailly.
Właśnie gdy Szymon to mówił, odgłos kroków jakichś dał się słyszeć.
— To on — szepnęła Klara. — Poznaję jego kroki.
W istocie za chwilę Michał wszedł do oberży. Strzelbę miał przewieszoną przez plecy, a w torbie zająca jeszcze ciepłego, którego zabił na czatach.
Bracia spojrzeli na niego zachmurzeni i czekali aż matka rozpocznie badanie.
— Hej! matko — zawołał Michał — nalejcież mi moją zupę, jestem głodny.
— Dziś nie ma zupy dla ciebie — odrzekła stara.
— No to dajcie mi chleba i mleka.
— Nie ma nic dla ciebie — krótko odpowiedziała Klara.
— Czy żartujecie sobie matko?
— Masz dosyć pieniędzy, możesz jeść gdzieindziej — mówiła dalej stara.
— Pieniądze, ja? — i Michał zaśmiał się.
— Ileż ci zapłacił p. de Villenave za to, żeś sprzedał cygana?
A mówiąc to stara, wpatrzyła się badawczo w Michała.
— Co was to obchodzi! — odpowiedział Michał.
Widząc zaś, że bracia patrzą jakoś dziko na niego, cofnął się wstecz.
— Chcemy także naszą część — rzekła Klara.
— Waszą część? z czego?
— Z pieniędzy, które dostałeś.
— Pieniądze należą do tego, który je zarabia.
— A! doprawdy? tak mówisz! — zawołał Szymon.
— Obaczymy! — wykrzyknął Jan.
I obaj zerwali się z ławki, z pięśćmi zaciśniętemi postępując ku Michałowi. Ale Michał tę miał korzyść, że znajdował się koło samych drzwi między stołem i kominem.
Strzelby Jana i Szymona, zawieszone nad kominem, były za nimi, a on miał swoją pod ręką. Zmierzył do nich mówiąc:
— Strzelę do tego, kto pierwszy zbliży się do mnie!
Szymon i Jan stanęli.
Wtedy Michał cofnął się do drzwi, które zostawił otwarte, skoczył wstecz i znalazł się na dworze.
— Dobranoc i żegnam was! — zawołał.
I zniknął w ciemnościach nocy, zostawiając matkę i braci zdumiałych. Biegł tak aż do lasu, zatrzymując się od czasu do czasu i przysłuchując czy bracia nie gonią za nim. Tego wieczora obszedł się bez kolacji i przespał się w lesie, spiąc jak to mówią jednem uchem. Gdy dnieć poczęło myślał sobie:
— Dobrze byłbym zrobił, gdybym był uciekł jeszcze przed tygodniem, gdy dostałem owe dwadzieścia tysięcy franków. Ale zresztą umknę dziś wieczór... wszak od dawna mam ochotę obaczyć Paryż...
Ale coś przeszkadzało tym chęciom Michała Balthazar. Był biednym mimo swego bogactwa.
To jest miał za pasem dwadzieścia tysięcy franków, lecz ani jednego pojedynczego franka, i gdyby chciał zmieniać swoje banknoty, to zaaresztowanoby go natychmiast, z przyczyny jego złej reputacji w całej okolicy.
Zmieniać więc pieniądze w którem z miasteczek było niepodobieństwem. Więc poszedł do Coulanges, sprzedał swego zająca przekupniowi, dostał za niego trzy franki, i za te pieniądze pożywił się w szynku. I tam to rozmyślając szepnął do siebie:
— Ach prawda, pan de Villenave zmienia mi pieniądze.
I poszedł do zamku Rochepinte. Pan de Villenave i Corinna byli trochę zdziwieni, widząc go wchodzącego. Pan de Villenave nie gniewał się jednak za tę chwilę zwłoki, tak mu było nie miło podpisać ten weksel.
— Czego chcesz mój chłopcze? — zapytał Leon Villenave.
— Potrzebuję małej przysługi, panie.
— O co chodzi?
— Pokłóciłem się z braćmi i matką; zresztą miejsca te już mi się znudziły.
— Chcesz więc z tąd się wynieść?
— Tak, proszę pana.
— I gdzie się udajesz?
— Do Paryża, ale nie mam ani jednego sou.
— Co?! — zawołał pan de Villenave — czy kpisz sobie?
— To jest — odrzekł Michał — że mógłbym umrzeć z głodu, mając przy sobie banknoty, które od pana dostałem, bo gdybym je zmieniał w którem miasteczku, żandarmi przyaresztowali by mię natychmiast.
— To możliwe! — rzekł pan de Villenave śmiejąc się.
— I dlatego myślałem, że pan mi zmieniasz te banknoty.
Villenave spojrzał na Corinnę.
— Ja ci zmienię mój chłopcze — rzekła Corinna, wówczas gdy Michał kładł na stole jeden banknot tysiąc frankowy, obok teki, w której był weksel schowany. A potem rzekła do pana Villenave:
— Pieniądze mam w kuferku z klejnotami. Podpisz mi to co wiesz, ażebym go nie potrzebowała otwierać dwa razy.
Pan Villenave ukrył swój gniew o ile mógł, wziął pióro, i drżącą ręką podpisał weksel.
Corinna jak wiemy była kobietą bardzo przezorną.
Gdy wyjeżdżała, składała swoje papiery w banku i zabierała z sobą klejnoty. Otworzyła więc elegancką torbę podróżną, która znajdowała się między temi licznemi walizami, i z torby tej wyjęła małą szkatułkę

skórzaną z zgrabniutkim zameczkiem, od której kluczyk nosiła zawieszony na szyi.

Michał przypatrywał się temu z ciekawością.

Otworzyła szkatułkę, i nagle kłusownik cofnął się olśniony, tak wielki blask uderzył z tych lśniących brylantów.

Pan de Villenave zauważył i zachwyt kłusownika i wzrok jego dziwnie błyszczący.

— Źle robisz moja droga — rzekł do Corinny — wożąc ze sobą takie drogie kosztowności, wartujące pewnie przeszło dwa kroć sto tysięcy.

— Et! — odrzekła Corinna — jak dobrze, że je miałam; przydały mi się kiedyś tu przy śniadaniu u markiza.

— Musisz jednak pamiętać czasy, w których napadano dyliżanse.

— Cóż z tego? pamiętam, ale dyliżanse już nie istnieją, a koleje żelazne, znosząc je, zniosły także złodziei, którzy je napadali.

Mówiąc to, Corinna otworzyła podwójne dno w szkatułce.

Było tam kilka biletów bankowych i kilka rulonów złota. Wzięła jeden i podała go Michałowi.

Michał wpatrywał się ciągle w klejnoty.

— Jakto?! — zapytał — i te kawałki szkieł warte dwa kroć sto tysięcy franków.

— Mniej więcej — odrzekła Corinna, która w tej chwili zajęta była tylko wekslem, który chowała.

Potem zamknęła szkatułkę, a wraz z brylantami olśnienie Michała znikło.

Wziął rulon złota, schował go za pas, i rzekł kłaniając się nisko:

— Przepraszam i dziękuję.

Potem wyszedł.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Gdy Michał schodził po wschodach, zdawało mu się, że znów widzi te brylanty; zdawało mu się, że palą go w oczy i wzrok mu zaciemniają.

I jakby otumaniony przeszedł sień, podwórze i wszedł w aleję prowadzącą do parku.

Niedaleko bramy, wsunął się w krzaki, a potem zsunął się do rowu, gdzie zostawił swoją strzelbę.

Jednakże nie poszedł już dalej, lecz siadł na brzegu rowu.

O czem myślał?

Nie wiedział może sam dobrze, gdy nagle gałęź poruszyła się i pan de Villenave stanął przed nim z cygarem w ustach.

Michał spojrzał na niego zdziwiony.

— Co tu robisz mój chłopcze? — zapytał Leon Villenave.

— Odpoczywam sobie — szepnął Michał.

— A może myślisz kłusować króliki?

— O nie!

— Nie potrzebujesz się zapierać. Nie o królikach margrabiego ty myślałeś.

— Tak pan sądzisz? — rzekł Michał.

— O czem myślisz powiem ci.

— Czy pan jesteś może czarownikiem?

— Czasem.

— Jak Brebaigne?

— Może...

Michał ośmielił się i rzekł:

— A więc powiedz mi pan o czem też myślałem?

— Myślałeś o brylantach pięknej pani, które widziałeś przed chwilą.

— Och! — szepnął Michał.

— I założę się, że jesteś mego zdania, iż wielka to nieroztropność wozić takie kosztowności.

— Ależ! — odpowiedział kłusownik — na kolei nie ma niebezpieczeństwa, jak sama mówi.

— Tak, w wagonie, ale ma dobrych sześć mil do kolei.

— To prawda!

— I droga prawie ciągle prowadzi przez las.

— Ba! ale w lasach pełno strażników.

— Strażników pełno w dzień, a kłusowników pełno w nocy. Otóż — dodał p. de Villenave uśmiechnąwszy się ironicznie — kobiety mają manję podróżować w nocy, a ta chce koniecznie jechać dziś wieczór, ażeby zdążyć do pierwszego pociągu w Auxerre..

— Źle robi — odrzekł Michał.

— I mnie się zdaje — szepnął Leon Villenave.

Michał wpatrzył się w niego uważnie.

— Wybacz mi pan — rzekł — ale myślałem, że ta pani jest....

— Kim?

— Pana przyjaciółką.

— Pogniewaliśmy się trochę dziś rano.

— Dlaczego?

— Bo kazała podpisać mi ten papier, który widziałeś, że zamknęła do szkatułki z brylantami.

— A! pogniewaliście się dlatego?

— I ja też — dodał p. de Villenave — nie myślę wcale wstrzymywać jej dziś wieczór. Jeżeli przytrafi się jej nieszczęście, tem gorzej dla niej.

— Ale przypuśćmy — rzekł Michał, wpatrując się ciągle w pana de Villenave — przypuśćmy, że wydarzy się jej nieszczęście ..

— Cóż więc?

— Ten papier, który pan podpisałeś...

— Ponieważ nie przekazała go, to będzie bez wartości...

— Dobrze!... — szepnął Michał — rozumiem...

— Jesteś bardzo roztropny — odrzekł p. de Villenave. — Do widzenia Michale.

— Do widzenia, proszę pana.

I p. de Villenave chciał się oddalić. Ale Michał zatrzymał go mówiąc:

— Jeszcze słówko panie.

— Mów.

— Jak jedzie do Auxerre ta pani?

— Odjedzie w powozie markiza.

— Sama?

— Nie, z furmanem i dwoma służącymi.

— To za mało, aby upilnować dwa kroć sto tysięcy franków.

— I mnie się tak zdaje — odrzekł ozięble Leon Villenave. — Ale to jej w tem głowa. Żegnam cię Michale.

— Do widzenia, panie.

I pan de Villenave znikł w krzakach.

Michał założył strzelbę na plecy, przeskoczył rów, dostał się do bramy i wyszedł z parku mówiąc:

— Zarzekłem się wprawdzie wracać do domu. Ale, ba! bracia mogą mi teraz pomódz wiele....

A potem stosując to do pana Villenave i przypomniawszy sobie jego z nim rozmowę, szepnął śmiejąc się:

— A mówią jednak, że tylko nieszczęśliwi stają się łotrami!

(Ciąg dalszy nastąpi).

**Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.**